

Antoni Mączak

**ŻYCIE CODZIENNE
W PODRÓŻACH PO EUROPIE
W XVI I XVII WIEKU**



**Państwowy Instytut
Wydawniczy**

BYWALCY GOSPÓD: MONTAIGNE I MORYSON

Gospoda. Do wyjątków należą podróżni, którzy całkowicie pominęli w diariuszu swe wrażenia na ten temat. Dla wielu stan gospód – obok stanu dróg – jest główną podstawą oceny odwiedzanych krajów, tak jak kontakty z gospodarzem i jego służbą długo będą decydować o barwach obrazu miejscowej ludności, utrwalonego w pamięci podróżnego. Dla historyka zainteresowanego życiem codziennym trudno o lepszą okazję; jak jednak powiązać ze sobą niezliczone obserwacje i kąśliwe uwagi rozrzucone w relacjach z podróży, a dotyczące przecież setek różnych gospód, zajazdów i karczem w kilkunastu krajach? Żaden z naszych autorów nie ma wątpliwości, że istnieją uderzające różnice regionalne: gospody francuskie są niepodobne do angielskich, inne są holenderskie, szwajcarskie, niemieckie. Te zaś różnią się między sobą również w zależności od krainy.

Nie każdy, nawet wymowny, pamiętnikarz przekazuje wiele danych nadających się do porównania; nie wszystkim tak łatwym uogólnieniom wolno ufać. Warto jednak zacząć od obserwacji turysty bystrego, wrażliwego, klasyka tego gatunku: Michela de Montaigne.

Plombières: Pod Aniołem najlepsze pomieszczenie. Jest tam dobra kuchnia, jednakże wszystkie dalsze informacje o tej gospodzie dotyczą cen: drewno tanie, jest go pełno i płaci się właściwie tylko za rąbanie. Nie ma wykwintu, ale wygodne, niekrępujące pokoje; można wybaczyć kiepskie wino i chleb.

W Remiremont, Pod Jednorożcem, też dobra gospoda: ogólnie żadna prowincja Francji nie ma gospód tak wygodnych i dobrych jak Lotaryngia.

W Bazylei imponują Francuzowi rozmiary gospód. „W każdej sali, skądinąd bardzo dobrze umeblowanej, bywa po pięć lub sześć stołów zaopatrzonych w ławy. Tam jedzą razem wszyscy goście, każde towarzystwo przy swoim stole. Najmniejsze gospody mają dwie lub trzy piękne, bardzo piękne sale. Są w nich opony i okna bogato oszklone”. Gorzej z pokojami gościnnymi, które są marne: „nigdy nie ma zasłon nad łózkami, które są stłoczone po trzy lub cztery w jednym pokoju; żadnego kominka, ludzie grzeją się jeden przy drugim i przy piecach” (powrócimy jeszcze do sprawy pieców i kominków). Brak tu czystości: pokoje brudne, „szczęśliwy, kto może mieć kołdrę, podgłówek w ich stylu nigdy nie jest powleczone, a w ogóle brak innej pościeli jak kołdra, do tego dość brudna”¹.

Baden – to jeden zachwyty Montaigne’a. Gospody wspaniałe (zauważmy znów tę liczbę mnogą). „W tej, gdzie mieszkaliśmy, widziało się jednego dnia trzysta gąb do nakarmienia” i dobre sto siedemdziesiąt łóżek. „Jest tam siedemnaście pieców i jedenaście kuchen, a w gospodzie sąsiedniej pięćdziesiąt pokojów umeblowanych. Ściany gospód są całe obwieszane tarczami herbowymi szlachciców, którzy tu się byli zatrzymali”.

Ogólnie Montaigne chwali zajazdy niemieckie; wjechawszy na ziemię włoskie cieszy się w Rovereto, odnajdując tam niemiecką czystość pokojów i mebli, szyby i takie jak w Niemczech piece. „W których pan de Montaigne dostrzega znacznie więcej wygody niż w kominkach” – notuje służący, kronikarz podróży². My zaś lepiej niż nasi turyści pamiętamy, że jeszcze w Bazylei Montaigne na piece mocno utyskiwał. Wszystkie te uwagi ogólne o gospodach nie zawsze zgadzają się z codziennymi notatkami. Mimo doskonałości niemieckiego „przemysłu gospodniego”, w Monachium nie ma baldachimów nad łózkami, zwisają same tylko zasłony, w Konstancji zaś Pod Orłem antypatyczny gospodarz okazał im „barbarzyńską pychę niemiecką” w jakimś sporze ze służącym. Nie ulega jednak wątpliwości czystość tamtejszych zajazdów. Choć tu czy tam nie mają zwyczaju ogrzewać pościeli, gdy gość ma położyć się spać, ani nie grzeją mu odzieży, gdy ma ją wdziewać (oburza ich, gdy zapala się w tym celu pod kuchnią, a nawet gdy korzysta się z palącego się ognia), to w Mittenwalde – na szlaku z Monachium do Innsbrucku – można za sześć grajcarów skorzystać z łaźni parowej, a w Augsburgu można oddać do prania i prasowania wszystko, co się w czasie pobytu w gospodzie zabrudziło.

Uderzyły też Montaigne’a w niemieckich gospodach schody: dwa lub trzy schodki, po których trzeba wchodzić do łoża, a zwłaszcza schody do pokojów gościnnych, wyłożone płótnem – świadczące

44 zarówno o staraniu o czystość (by nie brudzić stopni), jak i o samej czystości, bowiem pierze się te chodniki co sobotę.

Zwięzłe i rzeczowe notatki z podróży, spisywane przez sekretarza pod dyktando, a we Włoszech już własnoręcznie przez Montaigne'a dla nabrania wprawy w języku, dadzą się zestawić z jego refleksjami przekazanymi w *Próbach*. „Aby zakończyć tę spowiedź moich mizernych humorów, wyznaję, iż w czasie podróży nie zdarza mi się zajechać do gospody, by wraz nie przyszło mi na myśl, czy mógłbym tu chorować i umrzeć wygodnie. Lubię obierać na kwatery miejsce, gdzie bym się czuł bardzo u siebie, bez hałasu, nie smutne, ani dymiące, ani duszne”³. „Rozpatrując w ten sposób dogodności mej gospody – ciągnie dalej po dłuższym wywodzie o śmierci – nie baczę bynajmniej na przepych i wspaniałość, nienawidzę ich raczej; dbam jeno o pewną schludną prostotę, znajdującą się częściej w miejscach, gdzie jest najmniej sztuki i które natura zdobi jakowymś własnym wdziękiem”.

Nie wykazywał więc Montaigne entuzjazmu dla gospód z wodotryskiem i sztucznych ćwierkających ptaków, o których będzie mowa, zauważył natomiast z aprobatą ptaki w klatkach Pod Koroną w Lindau. Można sobie łatwo wyobrazić zgodną pogawędkę Montaigne'a z nieco odeń młodszym Morysonem. Ot, choćby o gospodach w Niemczech. Moryson miał znacznie większe doświadczenie w tym zakresie, odwiedziwszy wszystkie główne krainy Rzeszy. Słyszając o bezczelnym gospodarzu z Konstancji, dodałby tytułem komentarza:

„Erazm z Rotterdamu powiedział, że gospodarze w Niemczech są wstrętni, to znaczy podli i plugawi; ja bym jednak określił, że są grubiańscy i po chamsku pyszni, czy raczej ponurzy i gburowaci. Kiedy wchodzisz, musisz pozdrowić gospodarza i szczęśliwy, komu ten się odkłoni. Musisz z nim pić i stosować się do niego we wszystkim”⁴.

Łóżka w Górnych Niemczech nie zawsze wygodne? „W Dolnych Niemczech po kolacji prowadzi się gości do sali o wielu łóżkach i kto nie ma towarzysza, temu dodaje się innego do łóżka [...]. W całych zaś Niemczech tkwi się między dwiema pierzynami (poza Szwajcarią, gdzie ma się łóżko pod sobą, a przykrywa wełnianym kocem); te pierzyny są bardzo wygodne, bo miękkie i lekkie [...]. Łoże u spodu jest wielkie i szerokie, wierzchnia zaś pościel wąska i miększa; między tym śpi się tak w lecie, jak w zimie. Nie jest to niewygodne w zimie, jeśli leży się samemu, skoro jednak zmuszają człowieka, aby miał w łóżku kolegę, jedna strona zostaje odsłonięta i tamtędy wieje, bo pierzyna jest wąska, nie może objąć z obu stron i każdy ma jeden

bok wystawiony na wiatr i przeciąg. W lecie zaś takie legowisko nie jest przyjemne, a człowiek bez przerwy poci się od stóp do głów”.

„Po wsiach za to i w wielu częściach Saksonii podróżni nie mają powodu uskarżać się na to, skoro każdy bez wyjątku, bogaty i nędzarz, pijany i trzeźwy, lokuje się między krowami w słomie, a czasem zdarza się, że kto kładąc się, miał słomianą poduszkę pod głowę, gdy się zbudzi, znajduje rozrzuconą albo zeżartą przez krowy. Ba, gdzie są łóżka, doradzałbym turyście wkładać swoje lniane gatki, bo prześcieradła rzadko są czyste, albo nawet nigdy”⁵. Nie bardzo pomaga nawet napiwek: „Wiem, doświadczałem tego często, a raz śmiałem się niezmiernie, patrząc na specjalną uprzejmość służących, którzy dostali napiwek i przynieśli mi pościel, zaprowadzili mnie do łóżka z czystą pościelą (jak zapewniał), w której nie leżał nikt poza jego matką, starą dziewięćdziesięcioletnią babą. Ta służba po gospodach oczekuje napiwków od gości, jakby to był obowiązek płacić, i bezczelnie domaga się, jakby to było ich prawo [...]. Robią to prostacko w Dolnych Niemczech, przynosząc naczynie z napojem, i grzeczniej w Górnych, gdzie służące wręczają bukiet każdemu gościowi. To jest dla Niemców charakterystyczne: nigdzie nie usługują bardziej prostacko i nigdzie bardziej nie domagają się zapłaty”⁶.

A Montaigne: „Należność ściąga się trochę po tyrańsku, jak we wszystkich krajach, a zwłaszcza u nas, w stosunku do cudzoziemców [...], a do tego dochodzi wiele nieobyczajnych szalbierstw”⁷.

Można sobie dalej wyobrazić dyskusję obu znakomitych turystów na temat łóżek i pierzyn, jest to jednak temat, do którego należałoby zaprosić więcej dyskutantów. „Przyprawicie Niemca o chorobę, każąc mu spać na materacu; także Włocha w pierzu; Francuza zasię bez kotar i ognia. Żołądek Hiszpana nie zniesie naszego jadła; ani znów nasz picia szwajcarską modą. Bawiłem się szczerze, słuchając w Augsburgu pewnego Niemca, który zwalczał nasze kominki tymi samymi argumentami, jakimi my się posługujemy zwyczajnie, aby przyganiać ich piecom”⁸. Filozof wybrał te przykłady, dyskutując rolę przyzwyczajenia i mechanizmy adaptacyjne. Obserwując z pełnym tolerancji zrozumieniem postawy innych, chciał osobiście zrozumieć, a nawet polubić, miejscowe zwyczaje: „Pan de Montaigne – zanotował jego sekretarz – spróbował kazać się okryć w łóżku pierzyną, jak to jest tu w zwyczaju, i chwalił to bardzo, znajdując takie przykrycie ciepłym i lekkim. Jego zdaniem tylko ludzie bardzo delikatni mogliby się uskarżać na taką pościel”⁹.

Posadziłem przy jednym stole (czy w jednym rozdziale książki) Morysona i Montaigne’a, widząc w nich rzadki typ podróżnych

46 pełnych zrozumienia i rozsądnej, umiarkowanej aprobaty dla obcych zwyczajów. Sprawa zaś pościeli takiej postawy wymaga.

Jest to temat wieczny: bez granic w przestrzeni i czasie, głównie zresztą dlatego, że zapewne łatwiej przystosować się do miejscowych zwyczajów w dzień przy stole niż w nocy w łóżku. Gdy w roku 1972, w czasie wizyty prezydenta Nixona w Moskwie, liczni korespondenci amerykańscy zebrali się przy śniadaniu po pierwszej nocy w hotelu Rossija, głównym tematem była nie polityka mocarstw, lecz kołdry i poduszki. Korespondent „Christian Science Monitor”, który utonął był w miękkim pierzu, odrzucił wieczorem poduszkę, robiąc sobie wałek pod głowę ze skarpetek i koszul zawiniętych w ręczniki¹⁰. Nie wiedział, że jego anglosascy przodkowie od stuleci zmagali się z tym problemem w podróżach. Nie tylko w XVI, jeszcze w XVIII wieku różnorodność typów łóżek i pościeli na kontynencie zmuszała brytyjskich arystokratów, by brali ze sobą w bagażu podróżnym własne materace i pościel¹¹. Nie wiadomo, czy gospody prowadzone przez Anglików we Włoszech, Niderlandach i Niemczech czy zajazdy przyciągające specjalnie anglosaskich gości we Włoszech dostarczały im wygod w domowym stylu: zasadę koncernów Hiltona, aby gość Amerykanin w każdym z ich hoteli na całym świecie czuł się jak we własnym kraju, trzeba było dopiero wynaleźć i umieć zrealizować¹². Zresztą prawdziwy turysta wówczas, podobnie jak dziś, szukał właśnie odmiany, żył ciekawością nowych zwyczajów i widoków. „Kiedy byłem poza granicami Francji – powracamy do *Prób* Montaigne’a – i kiedy, aby mnie uczyć, zapytywano, czy chcę, by mnie obsłużono po francusku, nie dbałem o to szczęście i pchałem się zawsze do stołów najgęściej obsiadłych przez cudzoziemców. Wstyd mi patrzeć na naszych rodaków i na ich głupie zacierzewienie w swoim obyczaju, mierzą ich wszelkie formy odmienne od własnych: zda się im, że są poza swoim żywiołem, kiedy są poza granicami swej wioski; gdziekolwiek się znajdują, trzymają się swojej mody, a trzęsą na obcą [...]. Ja, przeciwnie, podróżuję wielce przesycony naszym obyczajem; nie jadę po to, aby szukać Gaskończyków na Sycylii, dosyć zostawiłem ich w domu [...]. I co więcej, nie spotkałem ponoć jeszcze obyczajów, które by nie były warte naszych”. A przy innej okazji dodaje: „Najlepszy sposób życia jest ten, który jest najbardziej przyjęty i powszechny: wszelkiej osobności trzeba w tym unikać; tak samo mierzyłby mnie Niemiec dolewający wody do wina, jak Francuz pijący czyste”¹³.

Wino (choćby zmieszane z wodą) przypomina, że czas do stołu w sali jadalnej gospody. Zasiądziemy przy nim wraz z gronem podróżnych poznanych przy nauce języków, a raczej ze stronic podręczników-rozmówek.

ROZMÓWKI O GOSPODZIE

Parokrotnie w tej książce powołujemy się na rozmówki służące do nauki języków. Ponieważ teraz wypadnie przytoczyć obszerniejsze fragmenty ich bardzo plastycznych tekstów, słów kilka o realizmie w nauce języków.

Nasi ojcowie lub dziadkowie uczyli się przeważnie wedle metody Berlitz'a, która w swej wersji z początków stulecia posługiwała się bezsensownymi zdaniami, będącymi raczej przykładem konstrukcji gramatycznych. Dzisiejsze rozmówki, masowo kupowane latem przez jadących do NRD, Rumunii czy na Węgry, na odmianę nie mają uczyć języka, lecz umożliwić porozumienie się w konkretnych sprawach przewidzianych dla turysty przez autora książeczki. Teksty, o których mowa, stanowią odpowiednik dzisiejszych rozmówek. Niektóre z nich kładą nacisk na słownictwo, podają synonimy, inne natomiast przede wszystkim mają zapoznać z realiami kraju i podróży. Owe realia są jednak (jak tu uniknąć sprzeczności?) abstrakcyjne. Dbający o zbyt wydawcy i autorzy publikowali podręczniki-rozmówki od razu w wielu językach. Jak dziś bywa słownik żeglarski czy techniczny w ośmiu językach, tak w XVII wieku istniały popularne *Dialogi francusko-angielsko-łacińskie* (Oxford 1639) Gabriela du Grès, była *Nowa nomenklatura czterech języków, francuskimi, niemieckimi, włoskimi i łacińskimi językami spisana* Nataniela Duhesiusa (Lejda 1664) czy *Dialogi w czterech językach, francuskim, hiszpańskim, włoskim i niemieckim* opracowane przez kilku autorów (Amsterdam 1656). Podręczniki te służyć miały czasem we wszystkich kierunkach: z francusko-angielskiego, na przykład, korzystać miał zarówno Francuz, jak i Anglik. Nic więc dziwnego, że realia w nich opisane bywają zawieszane w przestrzeni niezbyt jasno określonej. Są zupełne *abstracta* oparte na motywach starożytnych, zdarzają się też rozmówki operujące dokładnym adresem gospody i cenami, które najpewniej zgadzały się z aktualnymi w Paryżu¹⁴. Dla większości podręczników, mieszczących się pomiędzy tymi ekstremami, charakterystyczne i wiarygodne są głównie sprawy dziejące się w gospodarze, sklepie czy na drodze. Dowiadujemy się o rozkładzie dnia podróżnego, kolejności jego czynności w zajeździe, o atmosferze przy stole i stosunkach konsument-gospodarz. Pewne sprawy wynikają przez przemilczenie, jak w felietonie Jerzego Kasprzyckiego: